Pisarz nie jest właścicielem piękna

Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomizmie w życiu i literaturze oraz o utraconej pamięci i jej odzyskiwaniu.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańska książka ”Medgidia miasto u kresu” zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka – jednego z Pańskich bohaterów. Po przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk…

Cristian Teodorescu: Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

BLC: Dla mnie ta historia jest – jak w przypadku innych Pana bohaterów – przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

CT: A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

BLC: Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

CT: To prawda, że Grecy nie mieszali tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jedynemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W ”Imieniu róży” Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

BLC: We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście… Która z tych motywacji była silniejsza?

CT: Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś ”z góry”. Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej mieszkańcy Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanej im kompletnie historii miasta.

BLC: Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny.

Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

CT: No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

BLC: Nie przesadzajmy. Sam pomysł, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość – to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

CT: Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu – pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

BLC: Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur – precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się – *toutes proportions gardées* – z epopeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym ”czymś więcej”?

CT: Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiech).

BLC: Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterek, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim

mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego… Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

CT: Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycla, który wyłapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi znikał tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

BLC: Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości…

CT: To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech – pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

BLC: Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

CT: Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie ”Dom”, w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce – *Tainele inimei* (”Sekrety serca”) również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

BLC: A co Pan pisze obecnie?

CT: W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Şoseaua Virtuţii. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa”) – powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim

tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do ”Medgdii”. Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli ”za chlebem” do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego ”Kukułka” i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej – jego założycielem był mąż babci. Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

http://kulturaonline.pl/

Medgidia, miasto u kresu: Ćwiczenia z pamięci.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Proza Cristiana Teodorescu ma urodę wschodnich miniatur – precyzyjnie zarysowanych mikroopowieści, w których za anegdotą skrywa się filozoficzna refleksja. Jako całość są one jednak ćwiczeniami z pamięci, którą w latach pięćdziesiątych skutecznie zacierano. Podobnie jak w Polsce.

Żebracza apokalipsa

Teodorescu przedstawia świat małego miasteczka, które dotyka apokalipsa – wojenna, ale także apokalipsa dwóch totalitaryzmów. Przedstawia ją w jednym z opowiadań na swój specyficzny sposób. Otóż opowiada o dwóch dworcowych żebrakach: Kulawym Prztyczku i ślepym paralityku Marcelu, którzy podzielili między siebie rewir dworca. Wszystko szło zgodnie z umową, kiedy pewnego dnia pojawił się trzeci – „żebrak apokalipsy" – dobrze zbudowany mężczyzna, który podpierając się kulą, defilował wzdłuż wagonów, informując pasażerów o nadchodzącym końcu świata:

> *Koniec świata puka do drzwi! Ale On, Ten, któremu nie możemy ucałować stóp, aby dostąpić zbawienia, daje wam jeszcze szansę okazania potrzebującym miłosierdzia, mimo wszystkich waszych grzechów!*

Dwaj żebracy poczuli się zagrożeni, toteż *spuścili przybłędzie manto, aby zrozumiał, że koniec świata może dla niego nadejść znacznie wcześniej niż dla reszty ludzi*. Jednak nie omieszkali wykorzystać pomysłu i od tej pory także używali argumentu nadchodzącej apokalipsy – każdy na swój sposób.

We wstępie do polskiego wydania książki autor wyjaśnia:

> *W ciągu zaledwie dekady, którą rozpoczął rok 1938, w Rumunii zmieniło się tak wiele, że nawet świadkowie owych częstokroć katastrofalnych zmian przestali wierzyć, że wydarzyły się one naprawdę, a zaczęli myśleć, że był to jakiś senny koszmar. Wielu z tych, którzy marzyli o powrocie do normalności, trafiło do więzień. Aby dawne czasy zatarły się w zbiorowej pamięci narodu, począwszy od lat pięćdziesiątych, z rozkazu kolejnych władz, historia Rumunii była wielokrotnie pisana na nowo.*

Teodorescu przywraca więc pamięć dotyczącą nie tylko narodu, ale czyni to także w odniesieniu do swoich dziadków i świata, w którym dane im było żyć.

Medgidia – rumuńskie Makondo

Skojarzenie Medgidii z fikcyjnym Macondo ze „Stu lat samotności" Marqueza przychodzi na myśl, gdy czyta się te wszystkie opowieści, ponieważ – choć nieodległe w czasie – wydają się jednak należeć już do sfery pewnej mitologii. Takiego miasteczka bowiem, jakie poznajemy na początku tej opowieści, już nie ma. Nie żyją bohaterowie owych historii, a odtworzone realia zmieniły się nie do poznania. Tętniące życiem miasteczko, zamieszkałe przez Rumunów, Żydów, Ormian, Turków, przypomina trochę mityczną Bukowinę.

Oprócz historii swego dziadka – Stefana Teodorescu, zwanego Stefankiem, właściciela dworcowej restauracji, pisarz snuje barwne opowieści o innych mieszkańcach Medgidii: jubilerze Marcelu, który terminował u paryskich mistrzów i który zmuszony został do opuszczenia miasta na fali antysemityzmu, co potem okazało się zbawienne, zważywszy wszystko, co działo się w Europie z Żydami podczas II wojny. Marcel wyjechał do Nowego Jorku, gdzie wkrótce został milionerem. Innym bohaterem jest imam Hassan – prawdziwy mędrzec, którego rady

zasięgają imamowie z całej Turcji i który grywa w szachy ze Stefankiem i z majorem Scipionem – komendantem pułku, mimo że początkowo unika go „z racji jego mało finezyjnego, koszarowego usposobienia”. Śledzimy także zmienne losy bezkompromisowego majora i jego skrywanej, ale wielkiej i odwzajemnionej miłości do żydowskiej lekarki Leili. W miasteczku mieszka nawet jeden Rosjanin – Grigorij, który zajmuje się kowalstwem, bije swoją żonę i ukrywa przeszłość.

Każdy z tych bohaterów to odrębna opowieść, a właściwie cykl miniaturowych opowieści, które wszakże stanowią odrębne, zamknięte dramaturgicznie historie. Jeśli jednak uważnie śledzimy losy bohaterów – a są one tak fascynująco przedstawione, że nie sposób się od nich oderwać – zauważymy, jak się one zmieniają na skutek historycznych wydarzeń. Niektórych historia miażdży bezlitośnie, inni wychodzą z doświadczenia totalitaryzmu (zwłaszcza komunizmu) przemienieni. Ale są i tacy, którzy pozostają jakby nietknięci przez okrucieństwa losu – jak piękna lekarka Leila, mimo że jest Żydówką, osobą niezwykle prawą i bezkompromisową. Ona zresztą także na koniec emigruje. Miasteczko, zarządzane przez przedstawicieli komunistycznego reżimu, szarzeje, brzydnie i przestaje być tętniącym życiem, wielokulturowym tyglem.

Śmiercionośne papryczki Januszka

Teodorescu uwodzi czytelnika nie tylko pasjonującymi opowieściami. Istotne jest także to, że owe cudowne miniatury charakteryzuje specyficzny humor i wszechobecność ironii losu, ale także ironii historii. Dzięki temu każda anegdota zyskuje drugie dno.

Mnie najbardziej urzekła miłosna historia jednej z głównych postaci – kelnera Januszka. Otóż restauracja Stefanka Teodorescu zawdzięczała swoje powodzenie nie tylko atmosferze, którą stwarzał właściciel, ale przede wszystkim obecności kelnera, który przed wojną pracował w Orient Expressie, znał języki i świetnie opanował sztukę przygotowywania i podawania potraw. Marzył o tym, aby otworzyć własną restaurację w Bukareszcie, a może nawet kabaret, jednak ciągle brakowało mu na to pieniędzy. Tymczasem ani się obejrzał, kiedy „stuknęła” mu czterdziestka. Pozostawał w stanie kawalerskim, ponieważ „jako wielbiciel kobiet nie ryzykowałby

zakochania się w którejś z nich”. I oto pewnego dnia spojrzał w oczy młodej dziewczynie, zatrudnionej w kasie na stacji i… stało się.Żeby móc znowu popatrzeć jej w oczy kupił niepotrzebny mu bilet, a potem starał się zawsze być w pobliżu niej i choć robił to nader dyskretnie, dziewczyna zauważyła jego starania. I choć nie było to w zwyczaju, ale obyczaje powoli zaczęły się zmieniać – pozwoliła mu odprowadzać się do domu, a wreszcie gotowa była za niego wyjść. Kiedy jednak przyszły teść pogodził się z myślą, że córka wyjdzie za mąż za starszego od niej o dwadzieścia lat mężczyznę, Januszek postanowił coś udowodnić kolejarzowi, który stroił sobie żarty z jego związku. Założyli się, że jeżeli Jan zje pięćdziesiąt ostrych papryczek, kolejarz wyjedzie z miasta. Kelner był tak szczęśliwy, że gotów był zjeść dwa razy tyle. Zakład wygrał, po czym… wyzionął ducha.

Teodorescu opisuje nie tylko śmiertelne papryczki. Pisze o rewizjach, fałszowanych wyborach, przesłuchaniach, bezprawnym zabieraniu majątków, zawsze jednak w kontekście ludzkich losów, bohaterów, których – dodajmy – zdążyliśmy już poznać i jakoś się do nich przywiązać. Zawsze towarzyszy temu dyskretny humor, niekiedy czarny, jak w opowiadaniu”Kupiecki kadysz”, w którym inny bohater – Żyd Haiks traci cały towar i majątek, a nawet mieszkanie, ale nie traci poczucia humoru, tylko postanawia porozmawiać ze Stefankiem o kadisz – modlitwie za umarłych, którą powinno się nad nim zaśpiewać trzykrotnie.

Wielowątkową powieść Cristiana Teodorescu można czytać na różne sposoby. Sam autor, z właściwym sobie poczuciem humoru, sugeruje, aby tak właśnie czynić:

> *… mogą Państwo rozpocząć lekturę w dowolnym miejscu. Najbardziej niecierpliwi mogą czytać od końca do początku. Amatorzy powieści o szybkiej akcji mogą zacząć lekturę od początku i przeskakiwać przez tak zwane rozdziały – wypełniacze, natomiast ci z Państwa, którzy chcą poznać powieść jak powieść, powinni ją przeczytać od początku do końca, nawet jeśli składa się ona z ponad setki opowiadań.*

Powieść „Medgidia, miasto u kresu” ukazała się nakładem Wydawnictwa Amaltea, w przekładzie Radosławy Janowskiej-Lascar.

Wywiad z Cristianem Teodorescu ukaże się na Culture Avenue we wtorek, 10

stycznia 2017 r.

http://kulturaonline.pl/

Lucian DAN Teodorovici: Warto podjąć trud pisania.

Lucian Dan Teodorovici, fot. Cato Lein.

Barbara Lekarczyk-Cisek: *Muszę Panu wyznać na wstępie, że Pańska książka "Matei Brunul" zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Przede wszystkim forma tej opowieści jest niezwykle interesująca. Porozmawiajmy więc o niej.*

Lucian DAN Teodorovici: Dziękuję, że zaproponowała mi Pani rozmowę o literaturze, bo najczęściej zdarza się tak, że dla moich rozmówców książka jest tylko

pretekstem do tego, aby rozmawiać o historii i polityce.

BLC: *Na początek proszę mi wyjaśnić, dlaczego podjął Pan temat, który dotyka komunistycznej przeszłości Rumunii – czasów, kiedy Pana jeszcze nie było na świecie…*

LDT: Trudno mi podać jedną przyczynę, ale z pewnością najbardziej zaważyło przeżycie z dzieciństwa. Otóż wychowywałem się u dziadków. Mój dziadek był wiernym i wytrwałym słuchaczem Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Kiedy miałem może osiem lat, widziałem go płaczącego podczas słuchania audycji, co zrobiło na mnie wielkie wrażenie, szczególnie że dziadek nie był człowiekiem łatwo ulegającym emocjom. To był dla mnie pierwszy impuls: chciałem zrozumieć, dlaczego dziadek płacze. Tak więc ten temat rósł we mnie latami. Później sam wielokrotnie, czytając o sprawach związanych z tamtymi czasami, przeżywałem to bardzo emocjonalnie.

BLC: do tłumaczki, Radosławy Janowskiej-Lascăr:

Pani Radosławo, a co Panią skłoniło, aby tę książkę przybliżyć polskiemu czytelników?

RJL: Kiedy pracowałam przed laty w Rumunii jako lektor języka polskiego, Lucian był studentem filologii rumuńskiej. Wprawdzie nie mieliśmy bezpośrednich kontaktów, ale już wówczas słyszałam o młodych zdolnych ludziach na filologii, a potem nawet czytałam jego opowiadania. W tym czasie jednak zajęta byłam tłumaczeniami z literatury polskiej na język rumuński. Dopiero w listopadzie 2012 roku, trochę przypadkiem, trafiłam na jego powieść „Matei Brunul”. Byłam wtedy w Bukareszcie na wernisażu wystawy poświęconej Kazimierze Iłłakowiczównie, którą pomagałam przygotowywać. Przy okazji postanowiłam pójść na cmentarz, aby odwiedzić grób mojej zmarłej przyjaciółki, Polki. Czekając na kolegę, z którym miałam pójść na cmentarz, weszłam do pobliskiej księgarni, aby pooglądać nowości wydawnicze. Tak trafiłam na dwie książki: „Matei Brunul” oraz „”Medgidia miasto u kresu” Cristiana Teodorescu. Po przeczytaniu fragmentów pomyślałam jak Danusia z ”Krzyżaków”: ”Mój ci on” i postanowiłam obie przełożyć. Szczególnie że historia, a zwłaszcza lata 50. należą do kręgu moich zainteresowań. Ciekawiło mnie, w jaki sposób obaj pisarze opowiadają o tamtych czasach.

BLC: *No właśnie, bardzo interesujące jest zagadnienie formy powieści. Swietłana Aleksijewicz, tegoroczna noblistka, nazywa siebie kronikarką duszy, a w Pana powieści podobne słowa padają w stosunku do lalki. Pana również interesuje przede wszystkim ludzka dusza w sytuacji opresji … Tytułowy bohater powieści "Matei Brunul" jest lalkarzem, co pozwala użyć wieloznacznej metafory teatru marionetkowego. Skąd wziął się taki pomysł na opowiedzenie tej historii?*

LDT: Taki zamysł, aby bohaterem był marionetkarz, miałem od początku, choć trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Inspiracje płyną z różnych źródeł i nie zawsze są racjonalne. Tak się przy tym składa, że studiując reżyserię teatralną, miałem dużo zajęć z teatru lakowego. Dzięki temu zauważyłem, że podczas grania spektaklu aktor nie tylko animuje lalkę, ale też sam zmienia się pod jej wpływem. Zmienia się nie tylko jego fizjonomia, ale także sposób poruszania się. Chciałem dokonać swego rodzaju transpozycji z duszy marionetki (o której bohater pisze w swoim traktacie) na duszę człowieka. Mój bohater traci duszę, ponieważ traci pamięć i to właśnie marionetka "przywraca" mu życie.

BLC: *Dla mnie symbol marionetki ma w Pana powieści niejednoznaczne, a niekiedy sprzeczne znaczenia. Z jednej strony teatr marionetkowy, mając bardzo starą tradycję, służy bohaterowi do tego, aby opowiadając pewną uniwersalną historię, mógł zrozumieć otaczający go świat, a tym samym przeżyć doświadczenie kolonii karnej, co się na dłuższą metę nie udaje. Z drugiej strony teatr marionetek jako dzieło ludzkiej wyobraźni pozwala zapomnieć o opresyjnej rzeczywistości, jak to ukazał Pan w najpiękniejszej scenie tej powieści, kiedy Bruno ożywia marionetkę i świat wokół przestaje istnieć. Czy zgodzi się Pan z taką interpretacją?*

LDT: Pisarz zawsze marzy o tym, aby czytelnik odnalazł w jego książce te istotne myśli, które tam zawarł, toteż bardzo się cieszę, że Pani trafiła w sedno. Otóż w latach 50. ludzie nie byli już w stanie wyzwolić się z tego gorsetu, który im założono. Scena, w której Bruno animuje lalkę w obecności "dobrego strażnika" jest kluczowa w powieści, ponieważ pokazuje, że bywają takie momenty, kiedy zrzucenie owego „gorsetu" mogło się – choć na krótką chwilę – wydarzyć.

BLC: *W Pańskiej powieści teraźniejszy czas narracji przeplata się z czasem przeszłym, dzięki czemu poznajemy coraz lepiej sylwetkę głównego bohatera, ale*

mimo wszystko pozostaje pewna sfera tajemnicy, do której nie mamy dostępu. Brunul okazuje się być o wiele bardziej wolnym człowiekiem, niż sądzą inni bohaterowie, a także czytelnik…

LDT: Taki sposób narracji miał podkreślić, że początkowo, kiedy poznajemy bohatera, egzystuje on tak, jakby go nie było. Natomiast ten sam bohater w retrospekcjach jest człowiekiem bardzo aktywnym życiowo. Miałem taki zamysł, aby te dwie narracje w pewnym momencie się przecięły. Skutkiem tego im bardziej nasz bohater w teraźniejszości staje się żywotny, tym bardziej Bruno z przeszłości staje się martwy.

Gdy zbierałem dokumentację do tej powieści, bardzo istotne były dla mnie konsultacje z doktorem Bogdanem O. Popescu – jednym z najzagorzalszych pasjonatów neurologii w Rumunii. Na kształt narracji wpłynęła więc także wiedza na temat amnezji, będącej siłą spowalniającą człowieka, jak to jest w przypadku mojego bohatera.

BLC: *Czy podczas pisania powieści były jakieś szczególnie trudne momenty?*

LDT: Było wiele takich momentów, kiedy próbowałem połączyć ze sobą wątek teatru lakowego, rzeczywistość historyczną i teraźniejszość. Odkładałem wówczas pisanie, aby powrócić do niego po kilku tygodniach i podjąć opowieść.

BLC: *Czy udało się już Panu uwolnić od swojego bohatera i pomyśleć o nowej historii?*

LDT: W Rumunii wiele osób zadawało mi pytanie, czy mam zamiar kontynuować opowieść o Brunulu. Na Facebooku jeden z czytelników napisał do mnie, że powieść wprawdzie bardzo mu się podobała, ale nie wybaczy mi tego, że uśmierciłem swojego bohatera, co nie jest prawdą (śmiech). Nie mam wprawdzie potrzeby kontynuować tej historii, ale to zainteresowanie czytelników dało mi do myślenia. Zresztą fakt, że mogę ciągle toczyć rozmowy o tej książce, dowodzi, że mój bohater nadal żyje – w myślach i wyobraźni czytelników, mimo że ja się już od niego uwolniłem.

Prowadząc dokumentację do tej książki odkryłem też wiele materiałów na inne

opowieści i jestem przekonany, że temat historii lat 50. w Rumunii będę kontynuował.

BLC: *Został Pan laureatem Nagrody Czytelników im. Natalii Gorbaniewskiej. Co dla Pana znaczy ta nagroda?*

LDT: Moje książki były tłumaczone na inne języki, miałem też pragnienie, aby ukazał się także polski przekład. A kiedy okazało się, że przekład będzie, tak się tym ucieszyłem, że zacząłem sobie wyobrażać, że coś się musi wydarzyć. I tak się stało! Nagroda Czytelników daje poczucie, że warto podjąć trud pisania oraz nadzieję, że znajdą się również amatorzy kolejnych moich książek.

http://kulturaonline.pl/

Matei Brunul: Z życia marionetek.

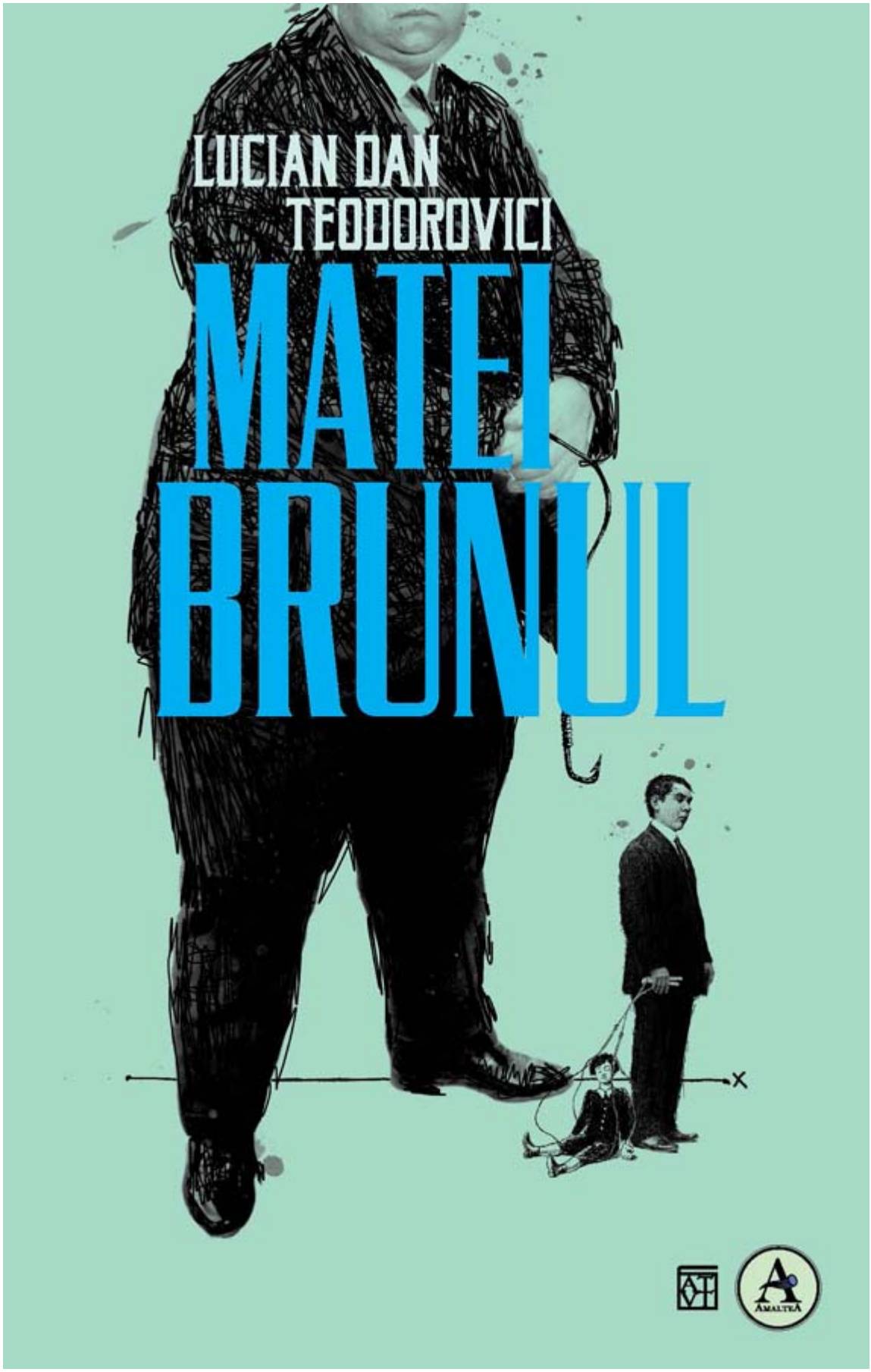
LUCIAN DAN
TEODOROVICI
MATEI
BRUNUL

Barbara Lekarczyk-Cisek

Nominowana do Angelusa powieść Luciana dan Teodorovici opowiada historię komunistycznych zbrodni, posługując się wieloznaczną metaforą teatru marionetek. Tak jeszcze chyba nikt tego nie opowiedział…

Bohaterem opowiedzianej przez rumuńskiego pisarza historii jest lalkarz – Bruno Matei, urodzony w rumuńsko-włoskiej rodzinie, który dostaje się w tryby komunistycznego terroru. Powieść jest ukazaniem losów pojedynczego człowieka, ale zarazem – jak pisze w przedmowie autor – „jest sumą losów wielu ludzi, którzy musieli się zmierzyć z rumuńskim systemem więziennym". Aby jednak podkreślić, że łączy historię z fikcją, autor odnosi się do prawdziwych okoliczności, wplatając do swojej prozy także postaci historyczne. Wydarzenia historyczne są rodzajem tła dla wydarzeń fikcyjnych. Pisarza bowiem interesuje przede wszystkim pojedynczy człowiek i to, co się z nim dzieje pod wpływem straszliwej opresji, której zostaje poddany.

Bruno – Pinokio à rebours

Historia Brunula (rumuński odpowiednik włoskiego imienia Bruno) odsłania się przed nami stopniowo – w retrospekcjach. W czasie teraźniejszym jest on 38-letnim lalkarzem, trochę zdziwaczałym samotnikiem, który nie rozstaje się z marionetką nazywaną Bazylkiem. Cierpi na osobliwy zanik pamięci, który polega na „wymazaniu" z życia ostatnich dwudziestu lat. Właśnie owe lata odsłaniają się przed nami nieśpiesznie w kolejnych retrospekcjach i pozwalają zrozumieć myśli i zachowania Bruna.

Bohater snuje rozważania o duszy marionetki, z którą się nie rozstaje, a myśli te są bardzo osobliwe. Uważa mianowicie, że każda marionetka ma duszę, będącą jej punktem ciężkości, którego poznanie gwarantuje całkowite panowanie nad nią:

Życie marionetki jest w rękach marionetkarza – sądzi Bruno. *Nigdy nie będziesz mógł poruszać lalką i sprawić, aby żyła tak jak chcesz, jeżeli nie nauczysz się kontrolować dogłębnie jej duszy.*

Doskonale rozumiemy, że słowa te odnoszą się do człowieka, który został poddany

systemowi opresji. To system pragnie nad nim całkowicie zapanować i czyni to latami, za pomocą różnych wyrafinowanych metod. W powieści Teodorovici człowiek ma stać się jak marionetka – niemy i bezwolny wobec oskarżeń, nawet najbardziej absurdalnych.

W 1950 roku Bruno zostaje oskarżony w procesie „odpryskowym". Ma wraz z innymi „wywrotowcami" zeznawać przeciwko swemu dobroczyńcy, byłemu ministrowi – Lucretiu Pătrăşcanu (postać historyczna). Poddany torturom, podobnie jak pozostali, przyznaje się do winy i zostaje skazany na kolonię karną. Próby zachowania człowieczeństwa wobec wyczerpującej pracy przymusowej, tortur, bicia i upokorzeń stają się coraz bardziej heroiczne. Bruno w jakimś sensie zastyga bez ruchu, aby tylko przetrwać, nie prowokować oprawców i nie dać im poznać, że zachował coś własnego, ludzkiego… Ciągle ma nadzieję, że warto czekać na prawdziwą wolność, która kiedyś przyjdzie. Tymczasem udaje, że „resocjalizacja" powiodła się, że jest bezwolną marionetką, która zrobi wszystko, co jej się każe. Czy mu się to ostatecznie udało – tego nie zdradzę, aby nie odebrać czytelnikom przyjemności odkrywania tajemnic Bruna. Powieść trzyma bowiem w napięciu do końca i do końca pozostaje nieoczywista – jak ludzkie życie.

Metafora teatru marionetek

Najpiękniejsze w prozie Luciana dan Teodorovici są metafory nawiązujące do teatru marionetek, w tym traktat bohatera, napisany przez niego po wielu studiach i latach terminowania w zawodzie. Wywodząc istnienie teatru lalek z odległej starożytności, kiedy to przedstawienia lalkowe niosły ze sobą ważkie treści na temat ludzkiej egzystencji, daje do zrozumienia, że ani na jotę się nie zestarzały. To, co mówi o marionetce – te wszystkie myśli dotyczą jego samego i pozostają ważnym elementem narracji. Dzięki nim możemy zrozumieć, co się dzieje z człowiekiem i ze światem wokół niego, jeśli próbuje się go zniewolić i potraktować jak bezduszną kukłę. Podobnie, jak w „Traktacie o manekinach" Bruno Schulza: człowiek staje się „przedmiotem niższej rangi". Dążeniem komunizmu było stworzenie „nowego człowieka" – całkowicie poddanego władzy i pozbawionego ludzkich, normalnych uczuć. Słowem – marionetki. Bo marionetkami zarządza się łatwo.

Książka Luciana dan Teodorovici „Matei Brunul” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea.

http://kulturaonline.pl/